Nieuchwytność samobójstwa

Al Alvarez
Bóg Bestia. Studium samobójstwa
przełożył Łukasz Sommer
Wydawnictwo Aletheia
Warszawa 2011

Człowiek zyskuje pełną świadomość śmierci dopiero wtedy, gdy stanie się całkowicie dojrzały. Kiedy nie jesteśmy już dziećmi, gdy wchodzimy w wiek młodzieńczy, kiedy zyskujemy już świadomość jakiejkolwiek choćby refleksji egzystencjalnej, nieubłagalność śmierci pozostaje jeszcze przytłumiona, wiedza o niej jest czysto teoretyczna, wydaje nam się – zauważył to już dawno Freud – że jesteśmy jakby nieśmiertelni i że ten pozytywny stan ducha nie ulegnie nigdy zmianie. Właśnie wtedy, w tym utopijnym czasie optymizmu, dobieramy sobie najbardziej płomienne lektury, a już szczególnie Dostojewskiego, u którego śmierci i przygnębienia mają wymiar intelektualnego gestu. U niego wszyscy są już nie dziecinni, ale jeszcze nie są dojrzali, za wyrażoną w powieści ideą od razu idzie czyn, odebranie sobie lub komuś życia zdaje się naturalnym przedłużeniem dyskursu. Dla czytelnika, już nie dzieciaka, lecz jeszcze nie dorosłego, ten wyczytany w wielkiej powieści występek jest naturalnym potwierdzeniem wyznawanego przez bohatera poglądu, co czyni go nie tylko ponadprzeciętnie odważnym, ale również wiarygodnym. Zdaje nam się w tym naszym życiowym międzyczasie niedookreślenia i nieświadomej naiwności, że odkrywamy wszystkie możliwe tajemnice człowieka, że życie jest podniosłe i naznaczone wyostrzonym gestem, takim wielkim kinem moralnego niepokoju, wypychanym patetyczną, egzystencjalną symboliką. Czas płynie jeszcze wolniuteńko, czujemy ekscytację jakimś nowym początkiem, jeszcze tkwimy w blokach, w istocie bawimy się w powagę dorosłości, tak jak dzieci bawią się w mamę i tatę, a wszystko pod przezroczystym kloszem nieuświadomionego fałszu. Tak właśnie wspominam mój własny czas przejścia – jako może najprzyjemniejszy w życiu, bo intensywny i wypełniony, a jednak szczeniacko naiwny. Wszystko jest w tym okresie przejścia radykalne, jednoznaczne, zdefiniowane, pełne pasji, bezapelacyjne, ostateczne – i nie poparte krztyną życiowej weryfikacji.

Właśnie wtedy, w okresie tej słodkiej nieświadomości, dowiedziałem się, że jakiś chłopak, mniej więcej w moim wieku, którego w ogóle nie znałem, kolega mojego kolegi, popełnił samobójstwo. Zdało mi się to na ów czas zupełnie nieprawdopodobne. Czytałem Dostojewskiego i Camusa, wtedy to były moje pilne lektury, jednak to tylko książki. Ich bohaterowie strzelali sobie w łeb, zabijali innych – szafowali życiem, ale czytanie o tym miało wyłącznie zaspokajać intelektualną refleksję i naturalną dla mnie wtedy wewnętrzną potrzebę czynienia rzeczywistości wokół podniosłą i skomplikowaną. Ale tak naprawdę pojmowałem ją jako mimowiedne pragnienie izolacji i spokoju. Nie mogłem uwierzyć w to, jak można jednym pstryknięciem palca wypisać się z tak nęcącego świata dorosłych, rzeczywistości wzniosłych radości i wzniosłych smutków. Tak pojmowałem dojrzałość – jako zabawę w serio, bez konsekwencji, zadrapań i okaleczeń. A jeśli się wydarzą, to bolą wzniośle i pięknie – tak, jak się o tym czyta. Niczym w grze komputerowej, w której sugestia autentyczności i świadomość fikcji zacierają granice +

i konsekwencje ewentualnych skutków i ciężaru doznawania. Ten czyn samobójczy, o którym tylko słyszałem, był dla mnie czymś szokującym, a nawet napawałem się faktem, że przyszło mi się otrzeć o sytuację graniczną, a jednocześnie myślę teraz, że jakoś tam nawet cieszyłem się wewnętrznie, iż nie było to udziałem kogoś z moich znajomych, bo kompletnie nie wiem, jak bym wtedy zareagował. Byłoby to z pewnością bardzo solidne uderzenie w strukturę tego ochronnego klosza: utopijnie, mocno na niby pojmowanych emocji. Ale przede wszystkim wydawało mi się kompletnie irracjonalne, by człowieka realnie dopadła okoliczność, która pchnie go rzeczywiście do takiego czynu, że nie ma ciężaru życiowego, który mógłby doprowadzić do tak dramatycznej decyzji. Niby ludzie od zawsze odbierali sobie życie, ale dla mnie dramatyzm tego zjawiska czynił je gigantycznym nieomal teatralnie, abstrakcyjnym, wymyślonym – powieściowym. Podobnie ten chłopak: niby realny, a jednak dla mnie był opowieścią. I wielkim zdziwieniem!

Podobnie zaczynają się dwie świetne książki o samobójstwie, Alfreda Alvareza i Stefana Chwina: autorzy piszą o przykładach z własnego otoczenia towarzyskiego samobójstw dziwnych dlatego właśnie, że kompletnie niespodziewanych. Obydwie książki pisane z perspektywy ludzi w pełni dojrzałych, doświadczonych egzystencjalnie, a Alvarez miał nawet za sobą próbę samobójczą. Obwinia się też za samobójczą śmierć Sylvii Plath, z której przypadku uczynił temat eseju inicjującego książkę. Znał ją bardzo dobrze, śledził jej poczynania poetyckie, łączyło ich koleżeństwo. Plath popełniła samobójstwo w tym momencie swego życia, który dla człowieka przydającego swoim obserwacjom miar zdroworozsądkowych musiał się wydać zupełnie nielogiczny. Alvarez przyznaje oczywiście, że Sylvia Plath miała w sobie coś niepokojącego, do czego nie dawała przystępu nikomu, coś, z czego obserwator musiał sobie zdawać sprawę, ale pozostawał wobec tej autodestrukcyjnej nieokreśloności kompletnie bezbronny. Niemniej można było przypuszczać, że całkowity upust owym niepokojom pisarka dawała w swojej naznaczonej wyłącznie pesymizmem poezji. I rzeczywiście, mogło tak to wyglądać, a nawet do pewnego momentu mogło tak w istocie być. Rozstała się z mężem, Tedem Hughesem, ale Alvarezowi się wydało, że w pewnym momencie, po nawracających co prawda zawirowaniach emocjonalnych, poetka stanęła wreszcie na nogi. I wtedy się zabiła. Metodycznie się do tego przygotowała, z pełną, logistyczną premedytacją, co wyklucza dywagacje o wpływie chwili, o impulsie. Tak to przynajmniej wyglądało, chociaż Alvarez pozostawia jednak sobie troszeczkę miejsca na spekulację. Bardzo drobiazgowo rozpatruje ówczesną codzienność Sylvii Plath, od planów mieszkania po obyczaje jej sąsiadów, i dochodzi do wniosku, że być może była to doskonale zaplanowana próba samobójcza, „wołanie o pomoc", dramatycznym, acz niezamierzonym zbiegiem okoliczności zakończone śmiercią. Nie wiemy jednak, jak było naprawdę, nie wie tego Alvarez – a może obie rzeczy naraz i w planie samobójstwa jak najbardziej autentycznego była jakaś domieszka chęci odratowania?... Ale istotne jest też coś innego: nawet tak, zdawałoby się, oczywisty przypadek odebrania sobie życia, jak w legendarnej historii Sylvii Plath, osnuwa tajemnica i nie pozbawiona bynajmniej rozsądku spekulacja – to, że tak niewiele wiadomo, a naprawdę nic nie wiadomo.

I tu być może dochodzimy do sedna tego typu rozważań i tego typu książek. Każda z nich zatrzymuje się w pewnym nieprzekraczalnym miejscu. Samobójca zamyka za sobą drzwi, czyni nas dosłownie bezbronnymi wobec swojej tajemnicy i tym samym wzbudza w nas elementarny niepokój swoim czynem. Ów dyskomfort wynika, jak się wydaje, z tego, że człowiek, który dokonał takiego czynu, wymknął się interpretacji

– w najbardziej elementarnym, funkcjonującym na poziomie instynktu społecznego znaczeniu. Bo jedyne, co możemy próbować definiować, to nasz stosunek wobec takiego zdarzenia. Reszta, co pokazuje nie tylko książka Alvareza, znajduje oparcie wyłącznie w towarzyszącej owej tajemnicy serii mylnie często interpretowanych znaków lub kulturowych, narosłych przez wieki na fenomenie samobójstwa symbolicznych kodów. Kiedy się dowiadujemy o samobójczej śmierci kogoś nam bliskiego lub kogoś, kto funkcjonował w naszej bliższej czy dalszej mikrowspólnocie, możemy poczuć rodzaj zdrady. Samobójca chyba właśnie przez to staje się psychologicznie i społecznie obcy, a owa obcość miesza się z nie do końca może dla każdego uświadomioną, bo wypieraną przez empatię, wrogością. Zanegował przecież świadomie swoim działaniem to, co uważamy za najcenniejsze, co przekazujemy z pokolenia na pokolenie, co nie tylko instynktownie uważamy za początek, koniec i sens wszystkiego. Samobójca ostatecznie zdradza i wykpiwa tych, którzy pozostali, i nie można chyba uznać za prawdziwy paradoksu, że poprzez swój czyn samobójca tym bardziej umacnia w innych wartość życia. Przeciwnie, i inaczej niż w wypadku zbrodniarza, on tę wartość raczej unieważnia.

W najmniejszym nawet stopniu nie jesteśmy w stanie dookreślić własnej pozycji wobec osoby, która popełniła samobójstwo. Przez całe życie wchodzimy z innymi w jakkolwiek pojęte interakcje, dzięki temu nie tylko funkcjonujemy jako jednostki, bo z natury jesteśmy podmiotami społecznymi, ale także poprzez własne interpretacje oswajamy innych. Samobójca temu wszystkiemu się wymyka, bo całkowicie samotny odchodzi w ciemność, a nas, tych, co pozostali, czyni samotnymi nie tylko w tęsknocie (to, jeśli był nam bliski), ale także w tajemnicy i niemożności interpretacji swego czynu. Wyznaczona zostaje nieprzekraczalna i niemożliwa do likwidacji granica. Alvarez próbuje szukać definicji dla samobójstwa Sylvii Plath nie tylko dlatego, że ma jakże częste w takich wypadkach poczucie, iż „nie wszystko zrobił". Przede wszystkim chce oswoić zdradę, jakiej się dopuściła przyjaciółka, i za wszelką cenę ratować porządek i przejrzystość ludzkiej interakcji, nawet za cenę poszukiwania interpretacji, którym trudno uwierzyć.

Obcość, niechęć, zdrada, podważenie tego, co najcenniejsze – wystarczy powodów, dla których świat ludzki nigdy nie zaakceptował samobójstwa. Różnie ewoluował w historii stosunek do śmierci: jedne kultury bardziej ją oswajały, nawet się na nią znieczulały, inne – zupełnie odwrotnie. Ale wobec samobójstwa stosunek zawsze był jednoznacznie negatywny, jedynie zmieniało się nasilenie tej niechęci: od neutralnego kulturowo braku akceptacji po oczywistą, legitymowaną porządkiem religijnym wrogość. Dzisiaj – i słusznie – czyn samobójczy pojmujemy przede wszystkim jako decyzję indywidualną, skrajnie dramatyczną, akceptowalną wszakże kulturowo. W najmniejszym jednak stopniu nie niweluje to społecznego niepokoju związanego z takim wydarzeniem, bo niepokój ów mógłby zniknąć tylko wtedy, gdyby samobójstwo odrzeć z tego, co dla jego istoty niezbywalne, a mianowicie z tajemniczości. To jest niemożliwe. Można jedynie snuć domysły, muskać powierzchnię zjawiska, przesiewać mniej czy bardziej fałszywe znaki i gesty, w istocie pozostające jeszcze po stronie życia. O tym są w gruncie rzeczy książki o samobójcach, opisują wyłącznie ż y c i e – które skończyło się dobrowolnie podjętą decyzją o jego przerwaniu, ale kiedy wszystko jest jeszcze dopiero p r z e d . Dlatego, że więcej się nie da, a interpretatorom pozostają lęk, niepewność, rozchwianie aksjologiczne, rozpaczliwe próby oswajania. I hermeneutyka nieusuwalnych ciemności.

Adam Adamczyk

+